



JAK ODZYSKAĆ JEZUSA?

Co sztuka współczesna robi dzisiaj z obrazem Jezusa? Przecież uchodzi za bezbożną i bluźnierczą. Nic bardziej mylnego. Wystarczy spojrzeć na nowy projekt Katarzyny Kozyry „Szukając Jezusa”.

DOROTA JARECKA



WSPÓŁCZEŚNI ARTYŚCI I RELIGIA

Wpotocznym odbiorze związek świata sztuki współczesnej z religią kojarzy się głównie z kolejnymi skandalami. Co kilka lat odżywa w Polsce religijna wojna wokół wizerunków.

Dorota Nieznalska ze swoją „Pasją”, w której poczyniła aluzję do ukrzyżowania, była nawet sądzona za obrazę uczuć religijnych. Jacek Markiewicz z „Adoracją” zgromadził w Zamku Ujazdowskim rozmodlone tłumy, które wywarły nacisk na dyrektora warszawskiego CSW, by nie przedłużał wystawy, a na koniec instalację zniszczyły. Prawicowi politycy złożyli na artystę doniesienie do prokuratury.

No i słynna „Golgota Picnic” Rodrigo Garcíi na Festiwalu Malta w Poznaniu. Przeciw wystawieniu sztuki protestowali ludzie, którzy jej nie znali, zareagowali na sam tytuł. Nieważne, że był ironiczny. Tak jakby „Golgota”, „Pasja” i „Adoracja” były zastrzeżonym znakiem firmowym. Tymczasem artyści uważają, że takim znakiem nie są, a ich prace wchodzi w dialog z Kościołem, czemu trudno się dziwić, bo katolicyzm jest kulturą, w której wyrosli. Zupełnie wyjątkowo ktoś z nich otwarcie krytykuje Kościół – jak Artur Żmijewski w przedstawieniu „Msza” (2011). Najczęściej uprawiają inteligentny, pełen emocji dialog. Nie dziwi też wcale, że pokłon Trzech Króli ustępuje na rzecz wątków pasyjnych i mesjańskich. Wokół nas, mimo pozorów, mniej słodczy, więcej goryczy.

SYNDROM JEROZOLIMSKI

- Jesus, wait! - krzyczy Katarzyna Kozyra, biegnąc w dół wąskiej uliczki. Jezus macha ręką. - Zaraz wracam - odpowiada. - Jesteś Jezusem, czy tylko myślisz, że nim jesteś? - pyta artystka. - Naturalnie, że jestem.

Po raz pierwszy była w Jerozolimie w 2012 r. przez trzy tygodnie. Spotkała trzech Jezusów. Trzeba ich umieć szukać i odpowiednio zapytać. - Chce-

cie Jezusa? Mamy tu jednego - odpowiada portier ze schroniska ubogich Petra Hostel we wschodniej Jerozolimie. - Jest arabskim emigrantem z Holandii. Przyjechał do Jerozolimy po wielu życiowych nieszczęściach, odnalazł prawdę, czytając Biblię i Koran, w którym odnalazł zapowiedź powtórnego przyjścia Chrystusa.

Kozyra, tak jak Markiewicz, Żmijewski i Paweł Althamer, wywodzi się z pracowni Grzegorza Kowalskiego na Wydziale Rzeźby warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, szczególnie nastawionej na eksperyment i rozwijanie wyobraźni społecznej. Ci, którzy wyszli z tej pracowni, w latach 90. zmienili polską scenę artystyczną. Myślą nie tylko o własnej pracy - o jej formie i treści - ale też o tym, jak będzie odczytana. Tak było od początku. Już „Piramida zwierząt” (1993) Kozyry, w której artystka, parodiując obraz z baśni Grimma, ustawiła jedno na drugim: wypchanego konia, psa, kota i koguta, była zaczepką. Ukazywała to, co jest ukryte pod naskórkiem masowej konsumpcji: okrucieństwo wobec zwierząt, traktowanych nie jak żywe istoty, ale jak materiał. Nie chodziło o obrazę moralności, lecz jej przebudzenie.

Dziś Kozyra pracuje nad filmem „Szukając Jezusa”. Jeździ do Jerozolimy z kamerą, chodzi po ulicach, kościołach, schroniskach. Na razie zmontowała ponad godzinę materiału. Rozmawia z tymi, którzy są przekonani, że żyje w nich mesjasz. Mówię: - Syndrom jerozolimski to banał, wszyscy o tym wiedzą. - Ciekawe - odpowiada artystka - dlaczego taka rzecz jest uważana za banalną. Może to my, którzy tak sądzimy, jesteśmy banalni?

Za rogiem czeka już następny prorok, z wyglądu bardziej przekonujący. Nie nosi skórzanej kurtki, tylko orientalny strój. Pierre jest chirurgiem urodzonym w Szwajcarii, we francusko-żydowskiej rodzinie, który przeszedł na islam. Pozornie cyniczny. O swojej pracy chirurga operującego w szpitalach frontowych mówi z piekielnym humorem. Być ▶



Katarzyna Kozyra jeździ do Jerozolimy z kamerą, chodzi po kościołach, schroniskach i szuka Jezusa. Rozmawia z ludźmi, którzy są przekonani, że żyje w nich mesjasz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (6)



► może nie chce zbawiać nikogo prócz siebie. Jest jednym z nielicznych napotkanych przez artystkę mistyków, który posługują się „zachodnim” dyskursem, w tym – autoironią. Jego podróż na wschód, sądzi Kozyra, wynika z europejskiego pragnienia, by zerwać z materializmem, odnowić więzy z duchowością. Robi to z intelektualnej potrzeby. – A ty? – pytam. – Myślę, że jest czas, by odejść od takich pewników, np. że liczy się tylko ekonomia. Od formatowania sztuki według filozofii produktu. Dzisiaj sztuka jest produktem, tak jak twoje zdrowie jest produktem. Wszystko da się sformatować, spieniężyć. – To ucieczka? – Nie! Szukanie alternatywnych metod działania.

Projekt wraz z coraz częstszymi pobytami artystki w Izraelu nabiera kolejnych wymiarów i znaczeń. Kozyrę od lat zajmował problem tożsamości. Kim jestem? Dlaczego jestem tak postrzegana? Jej ostatnia wystawa w Zachęcie nazywała się „Casting” i była rzeczywistym castingiem, artystka poszukiwała osoby, która zagrałaby ją samą w filmie autobiograficznym. „W Tel Awiwie robiłam casting do filmu autobiograficznego i tam pomyślałam: po co ja siebie szukam?! Powinnam Jezusa znaleźć!” – powiedziała w rozmowie z Joanną Ruszczyk. Jednak projekt „Szukając Jezusa” ma także, prócz metafizycznego i egzystencjalnego, jeszcze jeden wymiar – polityczny.

MESJASZ CZARNY I BIAŁO-CZERWONY

– Skąd wiesz, że jesteś Jezusem? – pyta artystka młodego mężczyznę w czerwonym płaszczu jak z obrazów Rafała. Do płaszcza przyczepiona jest ośmioramienna złota gwiazda. – Mam znamie na plecach – mówi – które nazywa się Pieczęcią Proroka. Kamera stara się nam to przybliżyć, ale bez skutku.

Mesjasze są mesjaszami, także wtedy, kiedy nie mówią. Jak Marc. Marc mieszka nad Morzem Martwym, nosi przepaskę biodrową, żywi się dziennie jednym daktylem. Nie odzywa się do kamery, nie chce rozbudzić w sobie ego. Z ego nie ma za to problemów czarnoskóry mieszkaniowiec osady pod Jerozolimą, który ma dom pełen dzieci, samochód i cudowny widok na półpustynne tereny. – Wmawiają mi, że mam syndrom jerozolimski – mówi – ale ja w to nie uwierzę, chyba że ktoś mi pokaże przekonujące dowody.

Czarny mesjanizm to kolejny wątek filmu Kozyry. – Jeshua ben Josef jest Afrykaninem, to nie ulega wątpliwości, a my jesteśmy prawdziwymi potomkami Abrahama. – Jezus wrócił? – pyta artystka. – Tak, ja jestem Jezusem. – Ale Jezus czynił cuda. – Przecież czyni. Cudem jest to, że się spotkaliśmy.

**Jesus, wait!
– krzyczy
Katarzyna
Kozyra,
biegnąc
w dół
wąskiej
uliczki.
Jezus
macha
ręką:
– Zaraz
wracam**



Logika odkupienia spleta się z koncepcją narodowego wyzwolenia i w tym momencie afroamerykański Jezus staje się nam nieoczekiwanie bliski. Bo czy Jezus nie miał być królem Polski? Czy kolejny polityk nie wciela się właśnie w kolejnego mesjasza? Język mesjański paradoksalnie obecny jest także – a może przede wszystkim – w świeckiej rzeczywistości. Kozyra nie demaskuje mitów, to nie jest projekt prześmiewczy, raczej stara się wejść w samo ich serce, zobaczyć, jak się tworzą.

To zresztą jest kwestia nie tylko politycznej codzienności czy nawet krytyki społecznej. Artystka próbuje wejść w to, co tkwi głęboko w kulturze. Mesjanizm łączy Polaków i Żydów, pociąga artystów po obu stronach Morza Śródziemnego. Kozyra szuka mesjasza w Jerozolimie, a niedawno – jak pamiętamy – izraelska artystka Yael Bartana szukała go w Warszawie. „Mary Koszmary”, „Zamach”, „Mur i wieża” – jej trylogia filmowa, pokazana trzy lata temu na biennale w Wenecji w polskim pawilonie, oparta jest na schemacie znanym z mesjańskich podań. Oto jest zagubiony lud, hipotetyczny lud Izraela. Na Stadionie Narodowym przemawia jego młody przywódca w czerwonym krawacie. Przyrzeka ziemię obiecaną, którą jest Polska. Wedle tej fabularnej narracji do Polski ma wrócić sześć milionów Żydów. Tych, którzy zostali zamordowani w czasie wojny czy tych, którzy dzisiaj mieszkają w Izraelu? To nie jest jasne, a lewicowi Izraelczycy, z którymi solidaryzuje się Bartana, skłonni są odczytywać ten film jeszcze inaczej. Te sześć milionów, które dostaje zaproszenie do powrotu do domu, to także wygnani z Izraela Palestyńczycy. Zaś film można rozumieć jako utopijny projekt połączenia dwóch narodów: żydowskiego z palestyńskim. Kiedy rozmawiałam z Bartaną, mówiła o postaci, która ją szczególnie fascynuje, to żydowski fałszywy mesjasz, Sabbataj Cwi.

Spotkanie Kozyry z Yoramem (jednym z bohaterów jej dokumentu), który, jak mówi, „ogłada boga twarzą w twarz”, tak jak spotkanie Bartany z hipotetycznym polskim mesjaszem, ma więc jeszcze jeden wymiar: spotkania kobiety z heretykiem. Nie jest przypadkiem, że monumentalną książkę o życiu samozwańczego mesjasza Jakuba Franka napisała Olga Tokarczuk („Księgi Jakubowe albo Wielka podróż”). Bo heretyk i feministka spotykają się w specyficznym miejscu: na marginesie dominującej kultury. Razem muszą przebijać się przez poglądową większość.

AUREOLA NAD BANKIEM

Chrystus mężczyzn jest zupełnie inny. Rzeźbiarz i performer Zbigniew Warpechowski, którego retro-

spektywę mogliśmy oglądać jesienią w warszawskiej Zachęcie, jedną z najważniejszych swoich akcji poświęcił kluczowemu chrześcijańskiemu wizerunkowi. Jego akcja „Champion of Golgotha” była odegrana po raz pierwszy w 1978 r. Artysta rozkładał przenośny krucyfiks, „wieszał się” na nim w stroju sportowca i wygłaszał przemowy w stylu ówczesnej propagandy pomieszane z reklamą papierosów Marlboro. Było to, jak mówił artysta, „przeniesienie kostiumu Chrystusa w kostium championa, sportowego jakiegoś idioty”. Był to także „Chrystus PRL-u, szydzący z przewodniej roli partii i gierkowskiego konsumpcjonizmu”. Ale zapewne także z potocznej religijności.

Jaki byłby w takim razie Chrystus neoliberalizmu? Jacek Markiewicz w filmie z 1993 r., jego szerego i najczęściej złośliwie omawianej „Adoracji”, sparodiował i odtworzył zmysłową „ludową” religijność. Rozebrany, przytulał się do świętej figury (średniowieczny krucyfiks), wywołując zgrozę środowisk katolickich, ale i liberalnych. Myślę, że wcale nie zrywał z religijnością. Przeciwnie – starał się ją w taki ekstatyczny sposób odnowić. Ale jego działanie miało też wymiar antykonsumpcyjny, a więc

krytyczny. A widać to lepiej dzisiaj niż dwadzieścia lat temu, kiedy kapitalizm ze swoją reklamową turbiną dopiero się rozkręcał.

Bo czy nie jest tak, że pod odpowiednim kątem oglądany (zwłaszcza w święta) rynek ujawnia niepokojąco religijny wymiar? Nie chodzi tylko o „święte Mikołaje”, które reklamują kredyty w banku i sprzęt AGD. Chodzi o to, w jakie alegorie układają się obrazy z reklam. Te wszystkie aureole bijące od produktów, usta gotowe do pocałunku w podziękowaniu za prezent, uprawiane na klęczkach adoracje telewizorów z zakrzywionym ekranem, tworzą jeden wielki obraz błogosławieństwa, którym obdarzony zostanie lud, składający swą plastikową ofiarę na świątecznej ladzie. Co w tej sytuacji robić? Zaufać artystom?

Moglibyśmy wreszcie spróbować. W końcu to oni jedyni tworzą przeciwwagę dla przemocy konsumpcyjnego fetyszyzmu. Rzucającego na nasz sposób przeżywania czasu świątecznego cień tak ogromny, że ukrytego w nim bluźnierstwa przeciw wszelkiej duchowości wcale już nie widać.

DOROTA JARECKA